

TYGODNIK WILEŃSKI

Ner 75.

Dnia 22. Kwietnia 1817 roku. v. s.

ŚWIĄTYNIA PRAWDY

S E N.

PRZEBIEGAJĄC raz w śliczny wieczór wiosenny cieniste gaje i różném kwieciami ubarwione łąki, utrudzony spocząłem na murawie coraz świeższą zieleniejącą trawką. Tam zatopionego w różnych myślach nieznacznie słodki sen objął, wśród lekkiego szmeru topolowych liści. Zdawało mi się że zostałem łagodnie ujęty i wzniesiony ponad ziemskie posady. Nakoniec niewidzialną jakąś mocą znalazłem się być złożonym w przysionku wspaniałej świątyni. Ozdoby jej były gustowne ale bez przepychu; wszystko co ją otaczało, nosiło cechę nieśmiertelności i najwyższej doskonałości, która nie jest udziałem naszego jestestwa. Siegające niebios wierzchołkami swemi cedry, szczyt jej ocieniały, a rozkoszą upajająca wonia czyste napelwiała powietrze. Gdy tém zachwycony składałem dzięki

przedwiecznemu Stwórcy, zagną podniosła się zasłona, blask niezmierny uderzył moje oczy, upadłem na twarz i kiedy w niejakimś omdleniu zostawałem; jedną razą uczulem, że dobroczynna ręka chciała mię wywieść z tego stanu. Jakoż wnet przyszedłszy do siebie, uyrzałem stojącą przy mnie nadludzką istotę. Niebieskiéy barwy szata z ramienia zwieszona, okrywała bielsze nad śnieg jéy ciało, szczęście i pokóy malowały się w obliczu, a promienie radości wynikały z czoła. Przejęty nieznaném dotąd mi uczuciem na widok téy cudotwórney osoby, słowa z ust moich wydać nie mogłem. W tém milczenie moje tak anielskim głosem przerwała. „ Kiedy bojaźń ustąpi z twojéy duszy, niemasz się czego trwożyć w téy krainie *prawdy*; budowa w któręy przysionku zostajesz jest jéy świątynią. Tu przybywać muszą wszyscy, którzy z woli Naywyższego Stwórcy mając sobie wskazany pobyt na twojéy ziemi, nędzne opuścili już ciało. Wszyscy się cisną tłumem do Świątyni *prawdy*, ale ci tylko z niéy w radości odchodzą, którzy ją za życia czcili. Spóyrzyi na te śmiejące się doliny co chwila odradzającą się umajone trawką, na te czyste zdroje co kryształowe tocząc nurty zielone odświeżają brzegi, na te drzewa których rozłożyste konary okryte są przedziwnego smaku owocami. Wszystko ma postać wiecznego szczęścia, wszyst-

ko nayszystszą tchnie rozkoszą; tu téż jéy używają miłośnicy *prawdy*. Nie znaydziesz w nich obłudę, płaszczem cnoty lub mądrości, zbrodnie lub głupstwo pokrywający. Tu w każdym mieszkańcu, na twarzy jego wewnętrzne maluje się uczucie; serce mają na ustach, których kłamstwo nigdy nieskalalo. Ale w téy stronie na północ gdzie nieustannie posępne szumią bory i same tylko przeraźliwe głosy syczących gadów w bagnach się rozlegają; gdzie czarna noc okropną wiecznie różwodzi pomrokę, niedopuszczając nigdy przedrzeć się odżywiającym promieniom słońca; tam po zapadłych i cierniem nastérczonych jaskiniach błakają się ci, których fałsz i obłuda jedynym były żywiołem na ziemi; i dopóty tam zostają póki nie przyidzie straszliwy moment, w którym będą musieli stanąć przed obliczem Stwórcy, aby się z czynów swych usprawiedliwili.

Uderzyła cię jasność z głębi świątyni wychodząca, bo téż ciężko jest śmiertelnikowi znieść obecność prawdy, ale zniósłszy ją raz i przyzwyczaiwszy się do niéy, O! jak słodko potém kósztować owoców swéy powolności. Ażeby cię o tém przekonac widocznie, póydz i oglądaj... Zaledwo swych słów dokończył ten Aniół pocieszyciel, kiedym się już znalazł w pośród świątyni. Uyrzałem się bydz tłumem ludzi otoczony, z których każdy samym był

sobą zajęty. Na wyniosłym miejscu siedziała *prawda*, której wszyscy w upokorzony postawie słuchali; oblicze ję było spokojne i łagodne, ale razem pełne powagi i mocy; w każdym poruszeniu i słowie widać było szlachetną prostotę i tę mądrość, która samym tylko Niebianóm jest właściwą. Tam to przed ję tronem, widziałem potężnych mocarzów świata, co niegdyś rojami podłych otoczeni dworaków słyszeli tylko bezwstydnę pochlebstwa, które zaślepiały ich tak dalece, że nawet same występki przez siebie popełniane, mieli za największą cnotę a dumne zamachy za najmędrze układy; teraz zaś jakaż boleść serce ich ścisnęła, kiedy głos *prawdy* dał im poznać całą ich niedoleźność i słabość; jakież wstyd i ukorzenie malowały się na twarzach bezczelnych pochlebniów, którzy na większą jeszcze hańbę, razem ze swoimi niegdyś panami przyszli słuchać głosu *prawdy* w ję świątyni. Tam zobaczyłem wiele bardzo tych, którzy z powołania swego na świecie nieustannie cnotę mając w ustach łudzili rodzaj ludzki pozorami dobroci i braterskiéy miłości, czarnych występków częstokroć nosząc w sercu zarody; wystawiano téż ich za przykład, a fałszywa opinija to poświęciła. Lecz osłupiałem, kiedy usłyszał jak im wyrzucano nikczemną obłudę i przekonywano, że ani świętość pozorana, ani czeze gadaniny mniemaną napu-

szone cnotą, nieznaydą rzetelnéy zasługi przed naywyższém jestestwem, ale uczynki, tak, same uczynki tam roztrząsane i ważone będą. W tém rzuciłem okiem na ustronie, aż postrzegłem wyschłego człowieka, wspierającego się na filarze; oczy jego błyskały niejakąś chciwością, któręy pojąć niemożna było a ciężka gorączka zdawała się trawić jego lica, nikczemna i wytarta odzież nędzne osłaniała ciało. Gdym poglądał z niejakiémś przerażeniem na to szczególne stworzenie, powiedziano mi, że to był pewien bogacz, który nie własną pracą, ale zasługą przodków doszedłszy majątku, nigdy jego nie syty, pomnażał nieźmierne swoje skarby łzami i krwią podobnych sobie istot; twór ten obmierzły próżnym był tylko ciężarem dla ziemi, bo ani sobie, ani bliżnim pożyteczny, leżąc na niezliczoném złocie, gryzł siebie a obcą krew wysysał, jedynie dla powiększenia martwego kruszcu. Dręczyło go własne sumnienie, otworzyły się mu oczy ale już za późno, miał bowiem wnet usłyszeć święty głos *prawdy*. Tu znów godny litości nie tak przecie okropny zastanowił mię widok. Zobaczyłem wojskowego, jak się zdało, człowieka, straszniemi okrytego bliznami, który sam sobie złorzeczył. „Byłem wielkim wojdzą, mówił, tysiące wygrywałem bitew i nieźmierzone padły trupami nieprzyjaciół nieraz zasląłem, czczono mię na

„ ziemi, wielbiono, a nawet już z bogami
„ równano; a tu mi powiadają, że nie na
„ tém zależy prawdziwa chwała, aby ob-
„ szérne podbijać narody, zdzierać je i lu-
„ pić, same tylko mordy i pożogi tam wno-
„ sząc; ale żeby raczéy broniąc własnéy
„ oyczyzny, zrzadzać szczęście współziom-
„ ków, trwały im zabezpieczając pokóy.
„ Ach! czemuż mi tego pierwiéy nikt nie
„ powiedział? czemuż niemogłem poznać
„ caléy mojęy zapamiętałości i obludy tych,
„ którzy mię wynosili pod niebiosą, dla
„ tego, że się lękali miecza którymem wła-
„ dal?

Im daléy sięgałem wzrokiem, tém wię-
céy zadziwiających postrzegłem rzeczy. Tam
niektórych widziałem Poetów i Filozofów,
wielu jednak z nich nie takie odbierało po-
chwały jak na ziemi. Ceniono ich dzieła
w miarę talentu i pracy, naybardziéy je-
dnak zważano, na cel jaki sobie zakładali
ogłaszając swoje pisma światu. Kiedy tém
umysł mój był zajęty, wielki szelest obił
się o moje uszy; obróciłem oczy w tę stro-
nę, z którój pochodził i postrzegłem tłum
jakichśoiś szczególnych ludzi, każdy jeden
nad drugiego chcąc się pośpieszyć trzymał
w dłoni zwinione szpargały, twarze ich wy-
bladłe i oczy oblakane, kazały mi się do-
myślać, że byli wariatami. Ale z wielkiém
moim zadziwieniem poznałem, że to są pół
Mędrkowie, i Wierszoklety. Bezrozumna

ich ślepotą i samolubstwem do takiego doszły stopnia, że i tam chcieli mieć siebie za wielkich ludzi; każdy sądząc, że na ziemi nie umiano cenić ich mądrości, pewnym był, że w świątyni prawdy uwieńczyą laurem ich skronie. Ale nieszczęśni, niewiedzieli co ich czekało. W tém potężny głos prawdy dał się słyszeć. „A wy! rzekło to Bóstwo, co-
„ście się odważyli zarażać świat nikczem-
„nymi płodami, nikczemniéjszým jeszcze
„głowy i trawić drogi czas na bezrozum-
„nych czynach, wy! których zuchwałość
„nie znała granic w zarzucaniu wszystkich
„towarzystw nudnymi wierszydłami lub
„ckliwymi tłumaczeńkami, z jakimże czo-
„łem stajecie przed moim obliczém? ja-
„każ to nadzieja wyryta jest na waszych
„twarzach? precz z mego przybytku! Nie-
„chay czarne puszczę i okropne lochy bę-
„dą waszým mieszkaniem, aż do chwili,
„która ostatecznie wasz los rozwiąże.!!!
W tém się ocknąłem..... zimny pot oblał
moje ciało, a wrażenie jakie ten sen zdia-
łał na méj duszy, na zawsze tkwić będzie
w pamięci.

H Y M N do B O G A.

Boże! z dzielnych cudów znany,
Nieprawy krok trwożysz ciosem
Smiertelnym ten wyrok dany,
Byś rządził ich zawsze losem.
Cmisz Istoto świetne Trony
Pysznych niżasz dziełmi swými
Swiat użyźniasz dając plony,
Wszystko ożywiasz na ziemi.
Niepomniy przestępstwa, winy
Człeka są udziałem grzechy,
Gdy cię czi Boże! jedyny,
W Tobie zwykł szukać pociechy.
Broń od przygod, klęsk i zdrady,
Zwracay ploche w ludziach żądze,
Szczęść moje dobre układy
Boże! a przepuść gdy błądzę.

Józef Słowski.

ANAKREONTYK.

Precz! chłopczyku okrzyczany
Zwodny traf ciebie sprowadza,
Choć z Bogiń wdzięku ulany
Kunszt jednak twój często zdradza.
Zbyt czuły, skłonny do zbrodni,
Nad człkiem wywierasz psoty,

Zarażasz duchem swéy rodni,
Topiąc go w łonie pieśzcoty.
Wstrzymay, zawoła, swe żale
Płochego nic nie uczynię
Losów ludzkich nieustale,
Lecz młodość mnie nieominie.
Dobrywa strzałeczek dwoie,
Szepcząc przysuwa swe kroki,
Tą ugodzę serce twoie,
Drugą Temiry uroki.
Jął się w górę Bożek tkliwy,
Rzekł miłość się często chwieje,
Tym kupido jest życzliwy,
Którzy nie wierzą w nadzieje.

Józef Słoński.

B A Y K A

S o w a.

Uroiło się Sowie
W głowie,
Rzucić lasy,
Gdzie przed czasy
Zacne przodki
Nieodrodki
Na swych oyców żyźnéy niwie
Przepędzali dni szczęśliwie:

Pożegnawszy liczną zgraię,
Wnet przy murach miasta staie.

Tam z początku,

Siadła w kątku,

Daléj w bramie, a nareszcie

W samém mieście.

Przy odwiecznym mnichów gmachu,

Siadła sowa na poddachu,

I w szczęściu bez granic

Dumny ptak Minerwy,

Wszystkich mając za nic

Nudnie był bez przerwy;

Lecz rozwodząc raz swe pienia

Oślupiała z zadumienia.

Jak to? co za śmiałość wyuzdana!

Któs mię z śmiechem potakuie,

Lecę..... do Olimpu Pana

Tam mu zemstę przygotuię.

Strzepnęła się, i jakby wartkim ranna grotem

Nieścignionym lotem,

U Jowisza stawa tronu,

Pragnąc zemsty albo zgonu.

„Jowiszu! rzecze Jowiszu!

Panie mój nad Pany!

W odwiecznym murów zaciszu,

Ptak Minerwy był wyśmiany.

Wczoray gdym w śród śpiącój natury,

Wielbiła sławę twęý córy,

Któs się znalazł, ach! Jowiszu ukróć bole!

Co wydrwiéwał moje pienia.

Zemsty błagam, bo inaczéy wolę! wolę!

Z twego zginąć przeznaczenia.”

„Nierozsądna! Jam Stwórca natury,

Ja byt dając światu,

Dałem tobie głos ponury,

I twojemu bratu. (a)

Echo to zapewne, echo zawsze głośnie,

Wiernie piejąc w pośród gmachu,

Cnoty przodków, wady sprośne;

Nabawiła ciebie strachu.

Echo wiernie wszystko głosi,

A więc każdy

I zawždy

Jak zasłuży, niech tak znosi.

A. Kaczkowski.

ANAKREONTYK

Do K.....

„Plutus dziś moje zasiadł ołtarze,

„Wszyscy odemnie zwracają twarze,

„Wszystkie me dzisiay marne postrzały,

„Czekay człowiecze zuchwały!

(a) Puhaczowi.

„Zmienię ja rzeczy inaczéy,
„Pokażę, co łuk mój znaczy,
„Dumę Pluta upokorzę,
„Na swój obraz bóstwo stworzę.
„Do cnoty wdzięki ma ręka przyda,
„Wznowi się miłości siła.
Te były słowa Kupida.....
Tyś się Karusiu zrodziła.

A.....B.....

B A C H U S.

KANTATA IX. z ROUSSEAU.

Wesołość przy miernym użyciu wina sprzyja poecie.

Tobie boski Bachusie, twéy pieśń święcę chwale:
Nimfy, słuchaycie brzmienia méy liry w milczeniu.

Niech tam kto chce okazale

Spiéwa dzieje Hektora ku świata zdziwieniu;

Niech wskrzesza powieścią krwawą

Z grobu pamięć obrzydłą Greczynów zawzięcia:

Wielki bożku winogron, ja za twoją sprawą

Tobie święcę przedsięwzięcia.

Gronami, bluszczem, kwiatem, wieńcząc moje włosy,

Brnę wszędzie za twémi ślady;

Oddam tobie moje losy,

Wśród gry uciech i biesiady.

Ty cudnémi dary
Niebo opatrujesz :
Szląc bogóm nektary
Słodycz im szafujesz.

Tam to w gronie bogi ,
Przez twoich łask dzielność ,
Spełniając dar drogi
Piją nieśmiertelność.

Ty bogom rycerzy
Dajesz męstwo , siłę ,
Wenus przez cię szérzy
Swe ponęty miłe.

Srogość Polifema
Ty w moment łagodzisz ;
Lutnia Feba niéma ,
Gdy ty nie osłodzisz.

Co za gwałtowne wzruszenie

Mimo chęci unosi mój umysł strwożony ?

Na jakież błonie święte , w jakich lasów cienie ,

Czuję się bydz przeniesiony ?

Tajemnice Bachusa postrzegam na jawie !

Odwagą świętą będąc na sercu zagrzany

Czuję radość przy obawie ,

Od Bachantek w srogiéy wrzawie

Nie był w trackich jaskiniach taki cud widziany

Zstępuy, Miłości matko,
Przychodź ozdobić gody
Boga co mocą rzadką
Podbił wschodnie narody.
Zstępuy, Miłości matko;
Próżne Marsa przeszkody.

Już winem i miłością
Młody Sylwan rażony,
Goni Doris z czułością
Przez błonie i zagony;
Już z nimf walcząc płochością
Sylen winem zboczony.

Zstępuy, Miłości matko,
Przychodź ozdobić gody
Bogu co mocą rzadką
Podbił wschodnie narody.
Zstępuy, Miłości matko;
Próżne Marsa przeszkody.

Precz z tych miéysc niepoświęceni,
Poddaję się wzruszeniu którem jestem tknięty.
Wy, w najsłodsze go z bogów prawach wyćwiczeni,
Przynieście lirę moją, zgotuycie fest święty;
Poświęćmy w gronie naszym ten dzień ludom wielki.
Lecz wśród słodkich zachwyceń, rozczoneń, pieścizoty,
Oddalmy od nas hałas, bóy, i poswar wszelki,
Te gnuśne pijaństwa ślepoty:

Niech raczény nie ludzki Seyta

Biesiady swoje kłótnią, zabojem ukrasza;

Niech się oręża nie chwyta

Chłopobyków zbujeckich niewinna dłoń nasza.

Niechay Bellony zapały

Naszéy uczyty nie mieszają:

Bachus i jego dwór cały

Mordu, woyny unikają.

Biada krwi pragnącyéy duszy,

Która przez chciwość zaboju

Swiętość tajemnic naruszy

Bachusa dawcy pokoju.

Niechay Bellony zapały

Naszéy uczyty nie mieszają:

Bachus i jego dwór cały

Mordu, woyny unikają.

Potrzebaż bym toczył boje?

Za mną więc przyjaciele; do walki ruszaymy,

Osłońmy się kwiatami, czary napełniaymy,

Bachantki, bluszczoprety pożyczcie mnie swoje.

Jluż padło rywalów!.... jak walczą zażarcie!

Czuję, synu Jowisza, że się nie oddala

W tym razie twe dzielne wsparcie!

Co za mnóstwo głów pijanych na placu się wala;

Które win zalewa fala.

Tryumf! zwycięstwo!

Chwalać win Boże.

Niech żyje męztwo!

Tryumf! zwycięstwo!

Piymy, kto może.

Trąby chrapliwe

Niech wiwat grają,

Boje szczęśliwe

Trąby chrapliwe

Niech ogłaszają.

Tryumf! zwycięstwo!

Chwalać win Boże.

Niech żyje męztwo!

Tryumf! zwycięstwo!

Piymy, kto może.

Teodor Narbutt.

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Censury siedmiu exemplarzy dla miéysc prawem wyznaczonych. Dnia 30 miesiąca Kwietnia roku 1817.

August Becu Prof. Ord. Czl. K. C.

F. E. Gröddach Prof. Ord. C. K. C.